

Listy

Refleksje z wakacji

Znajduję się teraz w górach, w Austrii, niedaleko włoskiej granicy, gdzie zatrzymaliśmy się, żeby trochę odpocząć. Dla mnie znaczy to jednak, że jestem gdzieś tam na świecie – skutek przemieszczania się na duże odległości w krótkim czasie. Traci się wtedy poczucie miejsca, w którym się jest. Brak jest punktu odniesienia, bo kiedy nie jestem w stanie wyobrazić sobie drogi, którą musiałabym przebyć aby wrócić do znanych sobie miejsc, to jestem w stanie powiedzieć tylko tyle, że jestem gdzieś tam. To pozwala w prosty sposób uświadomić sobie w jakim stopniu na to, co nazywam sobą składa się miejsce, w którym jestem, miejsce w całym, szerszym kulturowym i biologicznym aspekcie tego słowa.

Nie wolno bezkarnie zrywać związków z miejscem, jest to równoznaczne z utratą części siebie. Oczywiście taki wyjazd jak mój nie oznacza żadnego zerwania. Myślę, że nie byłabym w stanie na dłuższy czas wyjechać z Polski, a właściwie nie tyle z Polski co z pewnego kręgu biologiczno-kulturowego, którego granice trudno określić, ale tym niemniej one istnieją. Z tej perspektywy zupełnie niemożliwe wydają się niektóre pomysły z kręgu New Age, że niby, jak się zasoby na Ziemi skończą to się przesiądziemy gdzieś indziej i też będzie dobrze. Dla mnie jest to zupełnie absurdalne i to wcale nie z powodu braku możliwości technicznych.

Siedzę sobie na zboczu góry, jest wieczór i jak co dzień, odkąd tu przyjechałam odwiedza mnie sarna. A może raczej ja ją. Ona schodzi z sąsiedniego stoku i przystaje na skraju lasu, chyba wcale się mnie nie boi, a może po prostu nie kojarzy tej skulonej istoty z człowiekiem: z lękiem, zagrożeniem, strzelbą i ucieczką. Chociaż udajemy, że się nie zauważamy to nasz wzajemny kontakt jest bliski. Ja już od pół godziny siedzę bez ruchu z zeszytem i długopisem w ręku, trochę piszę i udaję, że nie zwracam na nią uwagi. Ona chyba też trochę udaje, że mnie nie widzi, odwraca się bokiem i podszczypuje trawę, ale to tylko poza, bo przecież wystarczy, żebym zrobiła choć jeden gest w jej stronę a już kilkanaście błyskawicznymi skokami znika w gęstym lesie. Już kilka razy ją tak spłoszyłam. Nie za bardzo się tym przejmuję, przecież wiem, że ona jutro znowu tu wróci i że ja też tu jutro będę. No i kto tu kogo odwiedza?

Fajnie mi się tak siedzi. Póldzika, porośnięta różnymi ziołami łączka schodzi zakosami w dół. Widok roztacza się trochę nierealny: niebo pokryte prawie w całości gęstą, stalowoszarą pokrywą chmur, przez którą tu i ówdzie pada w dolinę snop prawie srebrnego światła. W powietrzu unosi się ostry zapach macierzanki i jeszcze jakichś innych, trudnych do określenia ziół. Dość silny wiatr wieje od strony gór, niesie chłód i wilgoć pełną dziwnych, przemawiających woni. Otwiera to nieskończone pole wyobraźni: gdzie rodziły się te podmuchy powietrza, czy jest w nich gorycz bukowych liści, osamotnienie nagranych w ciągu dnia skał, albo pojedynczy, samotny krzyk ptaka o późnym zmierzchu. Proste, przemawiające obrazy. Horyzont skrywa w sobie coraz to dalsze perspektywy gór: szarobłękitne, jak z dziwnego snu. W ogóle wszystko ma o tej porze taki posmak nierealności. I jeszcze ściana liści z boku, nade mną faluje i szumi – zwyczajnie? Jak bardzo bezcenna jest ta zwyczajność. Lubię tu przychodzić wieczorami, siedzę i robię różne rzeczy: na białą nitkę nawlekam złociste słomki, na białych kartkach maluję dziwne światy, gdzie wszystko jest w kolorze ołówka, lub, tak jak teraz, piszę. Próbuję to opisać, ale przecież mi nie wychodzi. Nic nie jest tak piękne, jak rzeczywistość. Nie wolno wierzyć słowom, bo słowa to tylko pojęcia. Z opisem jest tak jak z rysunkiem: niby wszystko się zgadza, ale przecież świat nie jest cały barwy ołówkoszarej, o nie, barw jest dużo więcej. Zresztą ja bym się wcale nie starała zatrzymać tej chwili, bo to tak, jak bym odmawiała każdej następnej prawa do bycia piękną, na swój inny od tamtej sposób. To tak jak bym dzieliła swój czas na kawałki, porównywała je, szufladkowała na lepsze i gorsze, a przecież te

wszystkie podziały to złudzenia. Chwile, które określam jako wzniosłe i te określone jako prozaiczne są w sumie jednością; tak samo smutki, radości i wszystko inne. Tak, że mimo całego tego brudu, zaśmiecenia i okrucieństwa, mimo całego zła, jest to w sumie piękny świat i piękna Ziemia. [...]

I jeszcze tak sobie myślę, że właśnie te najprostsze rzeczy, jak np. przywiązanie do doliny Wapienicy, to, że się widzi „coś” w starych drzewach, w Puszczy, w dzikości, że się czasem bardziej czuje niż wie, że do kopuły Pilska nie pasują żadne wyciągi, to jest to właśnie co łączy nas wszystkich, całą Pracownię, ale nie tylko ją. Dużo silniej niż jakiegokolwiek pojęcia czy programy filozoficzne.

Oczywiście pewien formalizm jest konieczny, tak jak czytelna tożsamość, ale w sumie cały ten system pojęć bardziej dzieli niż łączy. W naszym, ludzkim świecie, żeby jakieś zjawisko zaistniało, to musi być opisane słowami. A mnie wydaje się, że ten podstawowy, wspólny dla wszystkich poziom jest czymś niewerbalnym, tak, że każde słowo w jakiś sposób to zjawisko zubaża. Najlepiej według mnie wyrażać siebie, lub coś jakoś inaczej - np. poprzez rytuał. O ile na poziomie rytuału jesteśmy jednością, o tyle każda próba zdefiniowania tego, czy dyskusji nawet o samym rytuale może w końcu doprowadzić do podziału. Przychodzą mi takie rzeczy do głowy, kiedy się zastanawiam nad różnymi dyskusjami wśród ruchu ekologicznego, gdzie się bez przerwy operuje masą pojęć: antropocentryzm, jaźń, panteizm, homeostaza i tysiące innych. Jasne, że każde z tych słów coś określa i jest bardzo potrzebne, tylko że w rezultacie wszyscy są podzieleni, każdy ma własną, jedyną wizję i w sumie na takie dyskusje bardzo dużo energii się traci. Energii, która mogłaby być zużyta na konkretne działanie w obronie przyrody. Czy czasami nie są to po prostu spory o pojęcia?

Przeczytałam książkę „W obronie Ziemi”. Pierwsze wrażenie to to, że mnóstwo rzeczy, o których tam piszecie to nie są tylko wasze doświadczenia, one są również moje i wielu innych, czyli w sumie są to **nasze** doświadczenia. Minął kolejny okres funkcjonowania stowarzyszenia „Pracownia Na Rzecz Wszystkich Istot”. I co? [...] Kiedyś Pracownia robiła dużo mniej, ale i tak była zupełnie wyjątkowa, chodzi mi o związki między ludźmi, atmosferę itd. Teraz to się trochę popsulo, tak mi się wydaje i nie tylko mnie, wielu ludzi już mi o tym mówiło. Zawsze można zrobić kampanię, zaangażować w to mnóstwo ludzi i osiągnąć efekty, ale to ma też inne skutki. Np. bardzo wyczerpuje organizację, choćby finansowo, przede wszystkim jednak psychicznie. Możemy się rzucać w całą masę różnych działań ale wtedy nie zostaje czasu na to, żeby się ludzie ze sobą spotykali, pisali listy, rozmawiali, brakuje czasu na wspólne rytuały. To jest naprawdę zadziwiające, że udało nam się prowadzić taką dużą międzynarodową kampanię, ale jeśli Pracownia poprowadzi jeszcze kilka takich kampanii to się zwyczajnie rozleci. Chciałam tylko powiedzieć, że musimy teraz bardzo zwracać uwagę na samą atmosferę, jaka panuje wśród ludzi...

M.B.